Nr. 310. We Lwowie Poniedziałek dnia 8 Listopada 1897 r. Rok XXX.

Przedpłata wynosi we Lwowie:
Rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki liczba 6 i 7. — Telefon Nr. 171.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Numer „Dziennika Polskiego" kosztuje 6 ct.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

Nowa ustawa podatkowa.

Lwów 7. listopada.

XXXI.

Ustawa rozróżnia dwie grupy czynów karygodnych, a mianowicie takie, o których rozstrzygają władze skarbowe i takie, co do których orzecznictwo należy do sądów karnych. Obok tego istnieją jeszcze zaniechania karać się mające przez władze podatkowe karami porządkowemi. Do pierwszej grupy czynów karygodnych należą przedewszystkiem: usuwanie się od podatku i zatajenie podatku. Usuwania się od podatku staje się winnym ten, kto świadomie nieprawdziwe czyni oświadczenia, albo dopuszcza się zamilczeń, które są w stanie udaremnić przypisanie podatku wogóle, albo spowodować niższy przypis, albo wreszcie udzielenie nienależącego się uwolnienia. To wszystko musi naturalnie nastąpić w zamiarze usuwania się od ustawowej powinności podatkowej. Obojętną jest rzeczą, czy fałszywe zapodania umieszczą się w zeznaniu podatkowem. w odpowiedzi na pytanie ze strony kompetentnej, w uzasadnieniu środka prawnego, czy wreszcie w oświadczeniu dla osiągnięcia uwolnienia od podatku. Tego samego czynu karygodnego może się także dopuścić pełnomocnik odnośnie do opodatkowania jego mocodawcy, albo służbodawca odnośnie do opodatkowania poborów osób u niego w służbie zostających. Czyn ten podlega karze pieniężnej w wymiarze trzech do dziewięciokrotnej sumy, o którą podatek został ukrócony. Jeżeli fałszywe podania nastąpiły wprawdzie świadomie, ale nie w zamiarze ukrócenia podatku, wymierzyć należy karę pieniężną do 50 zł. Obok kary należy w każdym razie uiścić kwotę ukróconego podatku. Fałszywe podania, wynikające z pomyłki, nie są naturalnie karygodne.

Zatajenia podatku staje się winnym, kto w terminie ustawowym nie donosi władzy przemysłowej lub podatkowej o swojem przedsiębiorstwie, podlegającem podatkowi, kto nie donosi o powstaniu przedsiębiorstwa obowiązanego do publicznego składania rachunków, mimo, że ma obowiązek to uczynić, kto niedokładne i w czasie niewłaściwym wnosi zeznanie dotyczące podatku osobisto-dochodowego i rentowego; kto zaniecha doniesienia o osobach, pobierających płace służbowe podlegające podatkowi, lub kto nie donosi o rozszerzeniu swojej przemysłowości domokrążnej i wędrownej. Czynów tych może się także dopuścić pełnomocnik odnośnie do przedmiotów podatkowych mocodawcy. Jeżeli zatajenia podatku dopuszczano się z zamiarem ukrycia przedmiotu podatkowego, wówczas oprócz ukróconego podatku uiścić należy jako karę dwu- do sześciokrotną tegoż przy podatku zarobkowym jedno- do trzechkrotną kwotę. Jeżeli zatajenie nie nastąpiło w tym zamiarze, ma być karane grzywną do 20 zł.

Wskutek czynnego żalu gaśnie karygodność obu tych przestępstw. Przy usunięciu się od podatku ma to miejsce, jeżeli podlegający karze przed doniesieniem, albo przed wezwaniem go jako obwinionego do przesłuchania sprostuje i uzupełni swoje podanie. Przy zatajeniu podatku gaśnie karygodność, jeżeli podlegający podatkowi wniesie oświadczenie, doniesienie lub zeznanie, do którego jest obowiązany, zanim do tego przez władzę wezwany został.

Wspomnieć tu jeszcze należy o niektórych czynach karygodnych, należących do orzecznictwa władz podatkowych. Odmowa lub świadome udzielenie fałszywych wyjaśnień o lokatorach ze strony osób, do tego obowiązanych, zagrożone jest karą pieniężną do 200 zł. Nieuzasadnione uchylenie się od przyjęcia funkcji członka komisyj podatkowych podlega karze pieniężnej do 100 zł.; nieusprawiedliwione absentowanie się z posiedzeń komisyjnych może być karane grzywną do 25 zł. Prócz tego ustawa mnóstwo przewiduje kar porządkowych.

Karygodność usuwania się od podatku i jego zatajenie zadawnia się w pięciu latach po upływie dotyczącego okręgu wymiarowego — zostaje jednak przerwana wskutek nowego czynu karygodnego.

Postępowanie co do czynności karygodnych należących do orzecznictwa władz podatkowych, a więc w pierwszym rzędzie przy usuwaniu się od podatku lub tegoż zatajeniu należy do władzy podatkowej pierwszej instancji co do odnośnego rodzaju podatku właściwej, która wydaje swoje orzeczenie z podaniem powodów i wymierza zarazem dopłatę podatku. Wydanie orzeczenia powinno wyprzedzić przynajmniej jednorazowe przesłuchanie obwinionego, któremu przedstawić należy wszystkie okoliczności uzasadniające podejrzenie, nadto może tenże żądać ukazania dokumentów i konfrontacji ze świadkami rzeczoznawcami i osobami zaufania. Wolno mu wreszcie brać odpisy z dokumentów i żądać terminu czternastodniowego do wniesienia ustnej lub pisemnej obrony. O wszystkich tych uprawnieniach należy obwinionego pouczyć i o tem uczynić wzmiankę w protokole. Zresztą jest obowiązany do podatku uprawniony co do pewnych ważnych dla niego pytań proponować przesłuchanie rzeczoznawców i osób wywiadowczych i postawić wniosek przesłuchania ich pod przysięgą.

KORESPONDENCJE.

Wiedeń 5. listopada.

(Parlament. — Awantury bez końca. — Co przyniesie przyszłość. — „Varia").

Więc przebyliśmy ów dzień, który zdaniem Falbów parlamentarnych miał być dniem krytycznym pierwszego rzędu! Nie dzień to — a noc właściwie, posłowie bowiem zasiadłszy wieczorem we czwartek w swych ławkach, przesiedzieli w nich noc całą i dopiero o godzinie 10. rano w piątek, wybladli, zmęczeni, z zaczernionemi powiekami — jednem słowem fizycznie i moralnie zmięci — powrócili pod domowe „blachy".

Dwudzieste pierwsze z rzędu posiedzenie rozpoczęło się nadspodziewanie spokojnie — zdawało się, że nareszcie panowie obstrukcjoniści nabrali trochę lepszych manier. Ale złudzenie to trwało niedługo, gdyż p. Wolf na długo przed godziną duchów począł wypukiwać jakąś burszowską piosnkę na swoim pulpicie. Muzyka ta, pełna temperamentu knajpy, drażniła bliżej stojących, którzy najpierw grzecznie, później mniej grzecznie poczęli z Wolfem rozprawiać. Walka raz rozpoczęta nie ustawała — o jej przebiegu i wyniku mieliście już telegraficzne sprawozdanie, z którego widać, że towarzystwo w najobskurniejszym szynku potrafiłoby się grzeczniej zachować, aniżeli szenererowcy i ich otwarci lub skryci poplecznicy. Słowa: łajdaki, szubrawcy, kanalje, — krzyżowały się w powietrzu, a lada chwila oczekiwano walki na pięście lub laski.

Galerje przepełnione były od rana pomimo ścisku i gorąca — patrzono na sceny rozgrywające się w parlamencie z takiem przejęciem się i zajęciem, z jakiem hiszpańska publiczność śledzi przebieg walki byków.

I to ma się zwać reprezentacją ludu? Na galerji wśród mnóstwa osób zwracał na siebie uwagę Wereszczagin, który z ołówkiem w ręku patrzył na te karczemne sceny i od czasu do czasu rzucał jakiś szkic na rozłożony bloczek. Być może, że jak obrazy jego służą dziś za argument przeciw wojnie, tak kiedyś onegdajsze szkice posłużą do ośmieszenia parlamentaryzmu, który tak nieparlamentarnie się przedstawia.

Pod koniec posiedzenia jeszcze dwie awantury: dr. Mayreder głośno oskarża p. Tyszkowskiego, że Niemcom rzucił obelgę w słowach „wy pruskie szpiegi..." Tyszkowski energicznie zaprzecza temu, a dr. Mayreder musi uznać, że się omylił i woła: Niech ten, który to powiedział powstanie. jeżeli nie jest tchórzem. W drugim końcu sali Zedwitz przechodząc obok Wolfa splunął na ziemię. Wolf naturalnie i słusznie wziął to do siebie i w sposób brutalny zaatakował osobiście Zedwitza — ten spojrzał na niego z nieopisaną pogardą i, wzruszywszy ramionami, poszedł w swoją stronę.

Wreszcie po małej utarczce z Schönererem zamyka wiceprezydent posiedzenie i naznacza następne na poniedziałek o godz. 11. rano.

Walka piętnasto — a właściwie 23-godzinna, jeżeli wliczy się posiedzenie poranne, zakończyła się tedy zwycięstwem prawicy — ale zwycięstwo to nie kończy walki; coraz silniej nasuwa się pytanie — czy można rządzić z takim parlamentem, który nad wszelkie sprawy ogólne stawia kwestje stronnictw, w którym mniejszość chce narzucić swą wolę większości w najbrutalniejszy ze znanych sposobów?

Ustąpienie hr. Badeniego byłoby dziś wprost nieszczęśliwym wypadkiem, bo stanowiłoby precedens najniemoralniejszego teroryzowania — więc coraz jaśniej występuje też kwestja rewizji regulaminu izby, który stanowczej uledz powinien zmianie. Kary porządkowe dobre są wobec ludzi posiadających poczucie honoru i przyzwoitości, alecz emże są one wobec tych indywidyów wychowanych w atmosferze knajpy, które wypowiadają i pozwalają sobie mówić ostatnie impertynencje. Nietykalność poselska powinna być utrzymaną w całej pełni tylko co do prawa wypowiadania swego przekonania, ale nie powinna być pokrywką dla oszczerców i brutalów!

W chwili, gdy kończyło się w piątek posiedzenie izby deputowanych — o godzinie 10. — odbyło się na rozkaz cesarza uroczyste nabożeństwo żałobne w kościele św. Augusty, za dusze poległych w boju i zmarłych żołnierzy. Obok cesarza i arcyksiążąt zjawili się wszyscy wyżsi oficerowie. Po nabożeństwie zjawił się cesarz na placu przed kościołem i odbył przegląd zgromadzonych pułków. Po skończonej defiladzie przeszedł cesarz pieszo w towarzystwie hr. Paara przez plac Franciszka Józefa i udał się do „burgu". Uroczystości sprzyjała pogoda, ale pogoda prawie mroźna — wczoraj wykazywał termometr +0·2, dziś nie wiele więcej. bo 2·1.

W onegdajszych lwowskich dziennikach znajdują się cyfry, dotyczące ruchu tramwajowego w dnie zaduszne. Dla porównania kilka dat z Wiednia. Otóż tramwaje tutejsze przewiozły dnia 1. b. m. 247.321 osób, a dnia 2go 209.931. Cyfry dość pokaźne.

W obecnej porze Wiedeń nie nastręcza wiele poważniejszych rozrywek: w teatrach stare przeważnie rzeczy, koncerty nieszczególniej się udają. Najciekawszą jeszcze jest wystawa obrazów wspomnianego już Wereszczagina, która istotnie zasługuje na obszerniejszą wzmiankę. Ale o tem, potem.

Związek handlowy kółek rolniczych.

Walne zgromadzenie związku handlowego kółek rolniczych w Krakowie odbyło się w sobotę dnia 30. z. m. przy udziale dziewiętnastu członków, reprezentujących 101 głosów. Zebranie zagaił prezes rady nadzorczej profesor dr. Juljusz Leo, zaznaczając, że związek wykazuje stały i zdrowy rozwój swych czynności, co przedewszystkiem należy przypisać umiejętnemu kierownictwu i gorliwej pracy p. dyrektora dr. Prażmowskiego.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego zebrania zabrał głos dyrektor dr. Prażmowski, a zdając sprawę z czynności dyrekcji za ubiegły rok administracyjny, stwierdził również stateczny i zdrowy rozwój instytucji we wszystkich kierunkach jej działalności. Rozwoju dowodzi przedewszystkiem wzrost liczby członków i udziałów. Liczba członków wzrosła wprawdzie tylko o dwudziestu czterech, ale za to kwota udziałów podniosła się o 6454 zł. i wynosi obecnie 51.342 zł. 59 ct. Obrót kasowy dosięgnął kwoty 670.000 zł.; w porównaniu z rokiem poprzednim wzrósł o 52.000 zł. — Obrót towarów w sprzedaży hurtownej kółkom rolniczym i sklepom chrześcjańskim wykazuje znaczny przyrost w porównaniu do roku poprzedniego, mimo powstałych w Nowym Sączu i innych miejscowościach spółek handlowych, dostarczających towaru kółkom. Zwiększył się też obrót w sprzedaży nawozów sztucznych. Zysk brutto ze sprzedaży towarów wynosił 27.008 zł. 31 ct. podniósł się zatem w porównaniu do roku zeszłego o 3912 zł. 1 ct. Ten zwiększony zysk pochodzi w jednej części ze zwiększonych obrotów w dziale handlu artykułami rolniczymi, w części zaś ze zwiększonych zysków w obrocie towarów kolonjalnych. Czysty zysk wynosi 6981 zł. 77 ct. i jest o 676 zł. 78 ct. większy, aniżeli w roku poprzednim.

W końcu swego przemówienia dotknął p. dyrektor dr. Prażmowski dwóch bardzo ważnych spraw dla handlu chrześcjańskiego w naszym kraju, mianowicie otwarcia fiilji związku w Rzeszowie i otwarcia „oddziału rolniczego" dla handlu artykułami rolniczymi. Filja w Rzeszowie otwartą została dnia 28. września r. b.; ruch handlowy jest tam bardzo ożywiony, a targ dzienny wynosił w przecięciu około 200 zł., czyli za pierwszy miesiąc około 6000 zł. Wynik to bardzo pomyślny, jeżeli się zważy, że osiągnięto go przy braku takich artykułów codziennych potrzeb, jak mąka, krupy, nafta i t. d. Ponieważ te artykuły dla handlu w Rzeszowie mają pierwszorzędne znaczenie, a pomieszczenie ich w magazynach filji tak ze względu na szczupłość miejsca, jako też ze względu na zwilgocenie jest niemożliwem, przeto poczyniła dyrekcja kroki, aby wybudować własne, potrzebom odpowiednie magazyny.

Uchwalona przez radę nadzorczą organizacja osobnego „oddziału rolniczego" ma ogromną doniosłość dla całego naszego kraju. W kraju naszym, wyłącznie rolniczym, nie ma dotąd handlu nasion, prowadzonego z fachową znajomością i odpowiednio do potrzeb i stosunków produkcji krajowej, a tak samo nie ma racjonalnej hodowli i produkcji nasion. Z powodu tego braku opłaca kraj uciążliwy haracz zagranicy i ponosi przytem ciężkie straty z powodu wątpliwej nieraz jakości nasion i nawozów. Związek handlowy kółek rolniczych. powołany do obrony interesów krajowych. usiłował wprawdzie wprowadzić handel nasionami w zakres swych czynności, ażeby zaradzić złemu, ale czynił to tylko mimochodem obok handlu kolonjalnego. To nie wystarcza i należało stworzyć osobny „oddział rolniczy" i tak go zorganizować, ażeby związek mógł bezpośrednio wpływać na jakość i kierunek produkcji rolnej w kraju, a zarazem przyczyniać się do rozpowszechniania uprawy takich odmian, gatunków i ras roślin, które, jako przystosowane do warunków i stosunków produkcji krajowej, dawałyby największe rękojmie powodzenia i zyskowności hodowli. W tym celu weszła dyrekcja w porozumienie z komitetem towarzystwa rolniczego w Krakowie, który zamierzoną akcję związku handlowego na polu podniesienia hodowli i produkcji nasion w kraju uznał za sprawę krajową i poczynił dalsze kroki u towarzystw rolniczych, stacyj doświadczalnych i w ministerstwie rolnictwa dla zyskania poparcia dla „oddziału rolniczego" związku handlowego kółek rolniczych.

Sprawozdanie powyższe przyjęto z uznaniem do wiadomości, poczem imieniem komisji kontrolującej p. August Goetze przedstawił wnioski o rozdzielenie czystego zysku w następujący sposób: Do funduszu rezerwowego 25% czyli 1745 zł. 44 ct.; na remunerację dla funkcjonarjuszów i służby 1150 zł.; na tantjemę dla dyrekcji 800 zł.; na subwencję dla kursów handlowych w Czernichowie 300 zł.; na 6% dywidendę od udziałów 2857 zł. 90 ct. Pozostałą resztę w kwocie 128 zł. 43 ct. przenieść do funduszu rezerwowego. Wnioski powyższe jednomyślnie uchwalono.

Z dalszego porządku dziennego uchwaliło zebranie na wniosek rady nadzorczej otworzyć dyrekcji kredyt do wysokości 2000 zł. na ewentualne zakupno gruntu i budowę w Rzeszowie własnych magazynów.

Po wyczerpaniu porządku dziennego zamknął przewodniczący zebranie.

KRONIKA.

Djarjusz lwowski.

Poniedziałek 8. listopada.

Na placu wystawy od godz. 8. rano do zmroku panorama „Bem w Siedmiogrodzie."

Teatr hr. Skarbka: „Światowe kobiety", komedja Piotra Wollfa i „Łapka na myszy", komedja Rosseau. Początek o godzinie 7. wieczorem.

Kalendarz. Poniedziałek (8.): 4 Koronatów. Wschód słońca o godzinie 7. minut 5, zachód o godzinie 4 minut 24.

Osobliwy zwyczaj. W *Kurjerze Warszawskim* czytamy: W szatni jednego z tutejszych klubów oglądaliśmy wypchane ramię i rękę manekina. Ręka ta, przybrana w czarny rękaw, z białym mankietem i w rękawiczce, ma dłoń cokolwiek zgiętą. Zaciekawieni zapytaliśmy o znaczenie owej ręki, a wtedy objaśniono nas, iż ręka owa zawieszoną jest przy wejściu do sali z chwilą rozpoczęcia zebrania lub zabawy. Wchodzący do sali uczestnicy, zamiast składania poszczególnych ukłonów lub powitań, ściskają wiszącą w progu dłoń manekina, witając w ten sposób wszystkich zgromadzonych. Jest to więc jeneralny uścisk dłoni. Przymiotu osobliwości zwyczajowi temu odmówić nie można.

Jubileusz węgla kamiennego. Dzienniki belgijskie podają projekt obchodzenia 700-letniego jubileuszu węgla kamiennego. Odkrył go w roku 1197 kowal z Liège, nazwiskiem Hullioz, stąd nazwa francuska *houille*. Dokumenty autentyczne stwierdzają, iż dobywano węgiel kamienny w księstwie Liège już w roku 1228, w Hainaut zaś w roku 1229. W Anglji wprowadzono w użycie węgiel kamienny dopiero na początku XIV. wieku, lecz zaledwie w roku 1340 kilku uprzywilejowanych fabrykantów otrzymało pozwolenie na palenie „węgla ziemnego" (uważano ten materjał za szkodliwy dla zdrowia). We Francji eksploatacja węgla kamiennego rozpoczęła się od roku 1320, do odkrywania pokładów przyczynili się głównie Belgijczycy; słynne kopalnie w Auzin odkryto w roku 1734. Pomiędzy innymi krajami, posiadającymi ten materjał opałowy, Austrja i Czechy nie znały swoich bogactw kopalnych. I tu także odkryli je Belgijczycy, sprowadzeni za radą księcia Karola Lotaryńskiego, namiestnika austrjackich Niderlandów. W Niemczech północnych kopano już węgiel kamienny w wieku XIII.

W Berlinie powstało nowe towarzystwo ubezpieczeń „Industria", ubezpieczające za odpowiednią opłatą właścicieli zakładów przemysłowych od strat, wynikłych w czasie strejków. Fundusz zakładowy, rozłożony na akcje, wynosi na razie pięć miljonów

---

(48)

J. JANIN.

ZEMSTA.

Powieść współczesna.

(Ciąg dalszy).

— Przekonasz się zaraz. Zawołamy o pomoc, wszyscy, którzy się w tym domu znajdują, przybiegną, tylko nie twoja córka i nie *on* — tylko oni dwoje nie zauważą hałasu, który powstanie na taką straszną wieść. I wszyscy, Rosjanie i Włosi, wszyscy się dowiedzą, dlaczego córka nie przybiegła pierwsza do boku ojca. Ty jednak, Michale Worowiczu, wiedz o tem, że Piotr Iwanowicz Komanow stał się Romeem nie z miłości, ale z zemsty jedynie!

— Kłamiesz, kłamiesz! — chrapał jeszcze ciągle umierający i wił się w szalonej wściekłości, bezsilnej, takiej samej, w jakiej się wije śmiertelnie raniona lwica, widząc, iż zabierają jej młode.

Ksenja Mikołajówna skoczyła z kolan i pocisnęła dzwonek.

Drzwi, naprzeciwko tych, które swem ciałem wypełniał Michał Worowicz, otworzyły się, a na progu ukazał się służący.

Chciał wydać okrzyk zgrozy, ale rozkazujący ruch jego pani zmusił go do milczenia.

— Idź natychmiast do salonu gry i powiedz, że wchodząc do gabinetu Michała Worowicza, zastałeś hrabiego w takim stanie. Ruszaj!

Był to Iwan, stary kamerdyner Piotra. Przyzwyczaił się do odgadywania rozkazów swej pani z jedynego jej słowa.

Pobiegł czemprędzej do salonu i powiedział zaraz przy pierwszym stoliku zmienionym głosem:

— Musiano popełnić zbrodnię... właśnie znalazłem hrabiego Worowicza we krwi... musiało się to stać przed chwilą, gdyż żyje jeszcze...

Przy tym stoliku znajdował się przypadkowo prefekt Wenecji. Powstał zmięszany i polecił zamknąć wszystkie drzwi, aby nikt nie mógł opuścić pałacu. W salonie zapanował szalony ruch. Wszyscy porzucali stoliki, wszyscy gracze rzucili się do tego pokoju, do którego Worowicz wszedł przed trzema kwadransami, wezwany przez kurjera.

Prefekt udał się do sali balowej i głosem, któremu napróżno starał się nadać pewność, rzekł głośno:

— Markiz de Chypre Montaigout będzie łaskaw udać się natychmiast razem z nami, a wy, moi państwo, zrzucić maski natychmiast! W tej chwili spełniono tutaj zbrodnię.

W mgnieniu oka opadły maski, a natomiast ukazały się twarze blade i zmięszane, ale nikt się nie zgłosił na pierwsze, stanowcze wezwanie.

— Markiz de Chypre Montaigout! — powtórzył niecierpliwie. — Czyż go tutaj niema?

Wszyscy mężczyźni spojrzeli po sobie. Nie, markiza nie było między nimi.

— W takim razie musiał być w salonie gry i jako jeden z pierwszych pobiegł do gabinetu — ciągnął dalej prefekt po krótkim namyśle, a potem, nie wymieniając nazwiska ofiary, dodał: — Przedewszystkiem proszę państwa, szczególniej panie, pozostać tutaj, tam i tak już nas będzie za wiele.

Rannego podniesiono z ziemi i położono na sofce w gabinecie. Wszystkie maski naturalnie usunięto i od jednego spojrzenia mógł się przekonać prefekt, że niema tutaj tak samo Piotra de Chypre Montaigout, jak go nie było tam.

Przystąpił do Michała Worowicza, uścisnął go za rękę, a następnie odwrócił się i rzekł do jednego ze służących, który niósł miednicę z wodą:

— Waszego pana niema ani w sali balowej, ani, jak sądziłem, tutaj. Powiedz mu, co się stało, i że tu na niego czekamy.

I aby służącego nakłonić do większego pospiechu, prefekt odebrał mu z rąk miednicę.

Na te słowa, których wysłuchał, ranny, podniósłszy cokolwiek głowę, drgnął nagle tak silnie, że krew zaczęła się sączyć na nowo przez zimne, zmoczone chusty, które mu tymczasowo przykładano w oczekiwaniu pomocy lekarskiej, chociaż każdy wiedział doskonale, że to wszystko napróżno.

— Szczególna rzecz, że nie żąda zobaczyć swej córki — rzekł ktoś z stojących dokoła rannego.

— Jeszcze szczególniejsza rzecz, że niema jej przy nim!

— Dajcie rannemu jakiego napoju orzeźwiającego — rzekł prokurator, który również znajdował się na balu. — Może będzie mógł mówić i powie nam, czy poznał mordercę.

— Tak, tak — szepnęło kilka głosów — morderstwo w tym domu, to coś tak szczególnego...

Drzwi posamykano starannie, ale nie na klucz. Jedne z nich otwarto w tej chwili gwałtownie, a do gabinetu wpadł Piotr zmięszany w najwyższym stopniu.

— Co się tu dzieje? — zawołał. — Co się stało?

— To mój morderca! — szepnął Michał Worowicz zamierającym już, ale jeszcze wyraźnym głosem.

Jednocześnie wyciągnął zastygającą już rękę w kierunku wchodzącego.

— Pan się mylisz, panie hrabio! — zawołał prefekt. — Czyż nie poznajesz pan markiza de Chypre Montaigout, naszego uprzejmego gospodarza?

— Nie, nie mylę się... to on! Nazywa się markiz de Chypre Montaigout, ale jest także Piotrem Iwanowiczem Komanowem, synem Iwana Mikołajewicza, katorżnika... Tak, on jest moim mordercą, poznałem go, poznaję...

Powstała lodowata cisza, a najwyższe zdziwienie malowało się na twarzach wszystkich.

— Michał Worowicz myli się! — zawołał Piotr, głosem drżącym z zdziwienia i wzruszenia. — Jestem w istocie Piotr Komanow, markiz de Chypre Montaigout, poddany rosyjski, ale Michał Worowicz musi wiedzieć, że jedynie z powodów czysto osobistych, z pobudek, które dotyczą tylko mnie i jego, zamilczałem tutaj o mojej narodowości. Zresztą nie taiłem nigdy tego, że jestem Rosjaninem, a mordercą nie jestem.

W chwili, gdy Chypre Montaigout domawiał tych słów, otworzyły się te same drzwi, przez które wszedł przed chwilą, i Nadja, blada, napół nieprzytomna padła obok sofki, na której leżał jej umierający ojciec, i rękami objęła go jak oszalała nagle.

— Czy nie mylisz się pan? — powtórzył prefekt, który również pochylił się nad umierającym, gwałtownie wzruszony. — Czy pan jesteś pewnym tego, że się nie mylisz? Twierdzisz pan z całą stanowczością, że człowiek, który mniej więcej przed godziną wypalił do pana z rewolweru, był markizem de Chypre Montaigout? Hrabio Michale Worowiczu, pomyśl pan o następstwach takiej strasznej pomyłki!

— Nie mylę się! — powtórzył konający jeszcze wyraźnym, chociaż drżącym głosem. — Człowiekiem, który do mnie wystrzelił dwa razy z rewolweru, był Piotr Iwanowicz, markiz de Chypre Montaigout, ten sam, który tam stoi.

— Ale w jakim celu?

— Zemsta. Jego ojciec... nihilista... katorżnik... on sam... nihilista... tam... depesza...

Ruchem głowy wskazał na zakrwawiony frak, który tymczasem z niego ściągnięto.

Nadja powstała bezgranicznie zmięszana. Nie ogromna boleść z powodu ojca tak nią wstrząsnęła naraz, nie, ale to, co ojciec jej powiedział właśnie, te dziwne, niesłychane, szalone słowa, które usłyszała!

— Ojcze, ojcze... ojcze! — powtarzała, więcej jednak jej ściśnięte gardło nie mogło wydobyć z siebie.

— Markizie, muszę spełnić ten przykry obowiązek i aresztować pana — dał się słyszeć jednocześnie surowy i poważny głos prokuratora.

— Michał Worowicz jest szalonym! — zawołał Piotr Iwanowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

marek. Udziałowcami są przemysłowcy z różnych stron Niemiec.

Dzisiejsze „Echo literackie" zawiera: Wiersz Pawła Verlaine'a p. t. „Ecoutez la chanson bien douce" w przekładzie Z. Arta, dokończenie szkicu A. Chołoniewskiego p. t. „Przez mgłę", ciąg dalszy pracy E. Strumpfa p. t. „Literatura gruzińska" i ciąg dalszy noweli F. Herczega: „Święta". W odcinku „Echa" znajdą czytelnicy dalszy ciąg powieści K. W. Nazarjewej p. t. „Wir".

Z Poznania donoszą: „Komisja kolonizacyjna nabyła, według świeżo ogłoszonego sprawozdania urzędowego, do końca r. z. w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich 148 wsi rycerskich i 48 gospodarstw włościańskich, razem 92.724 hektarów (przeszło 370.000 morg) za 56,159.196 marek. Z tego obszaru rozparcelowała komisja przeszło 70.000 hektarów i założyła na nich 3071 kolonij. — Świeżo toczył się przed izbą karną sądu ziemskiego w Poznaniu proces „króla karciarzy" poznańskich, niejakiego Z., handlarza zboża i koni z miasteczka Rogoźna. Jaskinia gry w karty znajdowała się w jednym z pokojów gościnnych pewnego pierwszorzędnego hotelu w Poznaniu. „Król karciarzy" miał liczną, różnorodną klijentelę, przeważnie polską, począwszy od panów herbowych, wysoko urodzonych, a skończywszy na szewcach. Galerja typów z bractwa karciarskiego przesunęła się przed sądem w osobach świadków. „Królowi karciarzy" zawsze służyło szczęście, zawsze wygrywał bajeczne sumy, bo poprostu oszukiwał współgrających, za co sąd skazał go na dwa tygodnie więzienia i 500 marek kary pieniężnej. Oskarżony oświadczył przed sądem, że proceder jego karciarski, uprawiany w Poznaniu, niczem nie był wobec jaskini gry, znajdującej się w pewnym hotelu w Gnieźnie, gdzie w tych dniach pewnego jegomościa sądzić będą za sprawki karciarskie.

Zemsta za mur graniczny. Z Paryża donoszą: Pan Guillemain, właściciel kilku domów i p. Chabertier, bogaty kamienicznik, żyli ze sobą jak dwaj bracia siamscy. Razem chodzili do szkół, razem robili różne interesy i razem dorobili się olbrzymich fortun. Obydwaj starzy kawalerowie, prowadzili wspólną kuchnię i na horyzoncie ich życia nigdy nie pokazała się najmniejsza chmurka. Trwało to długie lata i sąsiedzi mówili o nich, że uosabiają przyjaźń Kastora i Poluksa. Przed rokiem postanowili oni kupić dwie wille w okolicy Paryża. Tak się też i stało. Osiedlili się w Neuilly, lecz pierwszego zaraz dnia wybuchło między nimi nieporozumienie o mur graniczny. Obydwaj bowiem utrzymywali, że są jego właścicielami. Kłótnia z początku cicha, przemieniła się w burzliwą i oparła się o sądy. Niezadowoleni z wyroku, postanowili oddać sprawę pod rozstrzygnięcie swego wspólnego notarjusza, p. Père. Pojechali do niego jedną dorożką. W drodze pokłócili się znowu. Wysiadając, Guillemain zapytał Chabertiera, czy mu odstąpi mur, lub nie?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

— Ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie.

Rozirytowany Guillemain wyjął rewolwer i strzelił dwa razy do swego dawnego przyjaciela. Kule chybiły, a okolicznościowy morderca oddał się sam w ręce policji. Tak się skończyła przyjaźń czterdziestoletnia.

Sekta dusicieli. W Rosji istnieje — jak wiadomo — mnóstwo fanatycznych sekt religijnych, o których od czasu do czasu gruchnie jakaś straszna pogłoska, malująca dosadnie ciemnotę i dzikość wierzeń w najniższych warstwach rosyjskiego narodu. I tak teraz policja rosyjska w Kazaniu trafiła znów na ślad sekty tak zwanych „dusicieli", która przed kilkunastu laty zagnieździła się w guberniji kazańskiej i otaczana tajemnicą przez swych zwolenników, tylko czasami przypominała się światu, naprzykład gdy w czystem polu znajdowano trupa ze śladami uduszenia. Sekta ta ma dużo swoich odrębnych obrzędów i zwyczajów, wśród których zwyczaj dobrowolnego umierania nienaturalną śmiercią nadał całej sekcie nazwę „dusicieli". Wierzą oni, że ten tylko może się dostać do królestwa niebieskiego, kto uzyskał wieniec męczeński. Otóż który z sekciarzy bliskim jest śmierci wskutek jakiejś ciężkiej choroby, przenoszą go lub przewożą do swej modlitewni, którą jest zwykle jakaś chałupa wśród zaułków wsi lub miast. Tu zgromadzają się sekciarze w nocy i śpiewają psalmy, tymczasem zaś t. zw. dusicielka, kapłanka sekty, staruszka utrzymywana jej kosztem, na głowę dogorywającego człowieka kładzie poduszkę i powoli ją naciska. Gdy ofiara fanatyzmu już skona, ciało ukryte w sianie lub w gnoju wywożą daleko za obręb danej miejscowości i zakopują, nie wznosząc nad niem żadnej mogiły. Strasznego tego obrzędu dokonywa nietylko dusicielka, lecz w razie nagłej potrzeby sekciarze sami między sobą. I tak przed paru laty stawał przed sądem kazańskim pewien wieśniak pod zarzutem, że udusił własną matką, oddając jej w ten sposób — według swego mniemania — ostatnią posługę. Sąd wówczas uwolnił oskarżonego dla braku dowodów. Wogóle we wszystkich takich procesach służą sekciarze za świadków odwodowych i starają się udowodnić *alibi* oskarżonego.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w fabryce dachówek p. Lewińskiego, znajdującej się za rogatką janowską. Zarobnik Jan Kapuściński wszedł z kagańcem w ręku do kotła miedzianego, aby go oczyścić. Kocioł był rozpalony, a na dobitek znajdowała się nim nafta, służąca do czyszczenia, która też eksplodowała i poparzyła Kapuścińskiego. Nieszczęśliwego po opatrzeniu przez stację ratunkową oddano do szpitala. Śledztwo w toku.

Odpowiedzi redakcji. *M. K. w Kołomyji.* W sprawie nadesłanego skryptu, wskazanem jest porozumienie się listowne. Adres?

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek po raz drugi „Światowe kobiety", komedja w 3 aktach Wolffa i „Łapka na myszy", komedja w 1 akcie Rosseau; jutro we wtorek po raz pierwszy „Córka pułku", opera komiczna w 3 aktach Donizettiego.

Z teatru. Chociaż z „Światowych kobiet" p. Wolffa nie wychodzi się „podniesionym na duchu", ani porwanym w wysokie regjony poezji, mimo to jako bilans spędzonego wieczoru zostaje bardzo przyjemne i dobre wrażenie. Jestto coś w rodzaju kawioru: podnieca. A ponieważ kawior jest artykułem spożywczym, którego smak odczuwają przeważnie tylko ludzie, zaliczani do znienawidzonego gatunku „burżoazji", z tego powodu teatr na premjerze „Światowych kobiet" przedstawiał niezwykły we Lwowie widok, gdyż rola manifestowania czynnika wesołości przez ciągłe wybuchy śmiechu przesunęła się z galerji, swojej stałej siedziby, do lóż i na parter. Wykwintny, sarkastyczny, prawdziwie po parysku feljetonowy dowcip Wolffa drażni w niewymownie przyjemny sposób nerwy i wskutek swoje dyskretnie podniecającej właściwości oddziaływa na nie poprostu — higjenicznie.

Bohaterowie Wolfa stanowią przepyszną kolekcję stworzeń, dla których nerwy są jedynym organem odbierania wrażeń. Nerwy do rozkoszowania się obiadem, jazdą na bicyklu i miłością, albo raczej parodjowaniem miłości. Ci ludzie nudzą się przedewszystkiem. Pan domu, który skalą swoich potrzeb o tyle różni się od parobka, iż odczuwa je w wyrafinowanej, „cywilizacyjnej" formie, zabija nudy tem, że nie złazi z bicykla. Pani jest histeryczką, a ponieważ przez trzy lata, trzy długie lata, dochowała mężowi niepokalanie wzorowej wierności, więc po ich upływie czuje się uprawnioną do zajęcia liberalniejszego stanowiska i zaczyna uprawiać z wielkim zapałem „miłość" zakazaną.

Produkt ten jednak jest dzieckiem nerwów. Jest to zabawa w miłość, coś, w czem jest trochę kobiecej ambicyjki, trochę zaciekawienia, trochę chęci zabicia nudów i trochę dawno niepodniecanej zmysłowości. Naturalnie, że taki bukiet oprawny w manszet zdawkowej elegancji, nie może dawać owej silnej, odurzającej woni, która na dnie mieści w sobie płomienność głębokich uczuć i nie obdziera ludzi z romantycznego uroku nawet wtedy, gdy zmysłom dają pierwszeństwo przed kodeksem moralnym. Kampanja miłosna pani Mareuse bladością swoich sprężyn robi wrażenie kwiatów z papieru. Zajmuje, drażni oko, ale nie porywa. Bardzo dowcipnie skreśloną postacią jest przyjaciel domu, jegomość zupełnie feljetonowy, w którego ramionach ładna histeryczka szuka upojeń. Mniej szczęśliwą jest dla kontrastu wprowadzona Margot, jedna z tych, których się „nie szanuje", a dla których autor koniecznie chce wyprosić od widza odrobinę szacunku.

Jestto zresztą wogóle komedja nerwów. Czworo ludzi, wprowadzonych przez autora na deski teatralne, są postaciami ze świata burżoazji paryskiej, z tego świata, który u nas zna się ze sceny i powieści i to prawie zawsze jako świat, który się nudzi, flirtuje, gra w karty, jeździ na wyścigi, zmienia kochanki co kwartał i zdradza mężów. Wszystko to jest i w „Światowych kobietach". Nic nowego... w komedji francuskiej! Właściwy tytuł utworu brzmi: „Te, które się szanuje". Tytuł satyryczny. Autor pokazuje nam jedną z takich, które się szanuje, to znaczy, które się „przyjmuje" i u których się „bywa", a które w gruncie rzeczy są mniej warte od kobiet, których się — nie szanuje. Przeciwstawienie moralności salonów paryskich i moralności, dajmy na to, prowincjonalnej.

Dowcip, bardzo wykwintny, i dyskrecja, pokrywająca po mistrzowsku rzeczy nieraz w wysokim stopniu drastyczne, są główną forsą Wolffa, a potęga ich wychodzi tem silniej, iż w sztuce niema zajmującej intrygi ani efektów, które godzą w najmniej wykształconą wrażliwość. Trudno istotnie o komedję, w którejby ktoś skojarzył więcej smaku i więcej motywów — niecenzuralnych dla młodych panienek. Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że do osiągnięcia świetnego wrażenia, jakie mimo niezaprzeczonej swojej powierzchowności wywiera komedja Wolffa, w niezmiernie wysokim stopniu przyczyniła się gra naszych artystów. Był to — żeby się wyrazić w sposób trochę oklepany, ale dobrze malujący rzecz — koncert sceniczny, który w przyjemny sposób przypomniał nam to, o czem niestety nie zawsze możemy pamiętać: że teatr nasz jest naprawdę nieprowincjonalnym.

Werwa, lekkość i elegancja cechowały całe wykonanie komedji. Przedewszystkiem na zachwyt zasłużyła pani Siennicka. Nie analizując jej gry, zdumiewająco bogatej w setki odcieni i przelotnych półtonów, niesłychanie finezyjnej, żywej, swobodnej i inteligentnej, powiemy tylko, że ostatnia rola wprowadza ją na bardzo wysoki szczebel artyzmu. Jestto artyzm, który spycha kulisy na ostatni plan i olśniewa widza złudzeniem rzeczywistości. Ponętniejszej, bardziej rozkosznej histeryczki salonowej, jak p. Siennicka, trudno sobie wyobrazić i kiedy się słucha takiej sceny, jak ta, w której znakomita artystka po chwilowym porywie rozkapryszonych zmysłów strofuje się przeciągłym, obłudnym wykrzyknikiem: „Nie można!" ma się przed sobą prawdziwy poemat kusicielstwa.

Idealnie dowcipnym przyjacielem domu był p. Żelazowski. Rzadko się spotyka w lekkiej komedji tak nieszablonowe i pomysłowe wykonanie roli ostatecznie nie zawierającej w sobie nic szczególnego. P. Żelazowski należy do artystów, którzy nie zapominają o tem, że *noblesse oblige* i że prawdziwy talent potrafi nawet z rzeczy bladej zrobić interesującą. Mężem p. Siennickiej był niewyczerpany w konceptach p. Feldman, umiejący, ile razy zachodzi tego potrzeba, bardzo zgrabnie opuścić atmosferę farsy i swój niezrównany humor przenieść na teren szlachetniejszego rodzaju komedji. Rólkę Margot odegrała z serdecznym akcentem p. Żelazowska, a wykwintną i naiwną w swem zepsuciu wdówkę ze świata salonów paryskich zabarwiła wdziękiem p. Bednarzewska, która urok swojej gry podnosi zawsze skutecznie przepysznymi kostjumami. Przypuszczamy, że komedja Wolfa, przetłomaczona bardzo ładnie przez p. Zapolską, zrobi kilka razy „kasę." *a. c.*

Z izby sądowej.

Lwów 7. listopada.

(Dama pikowa).

Nieśmiertelnie ponętna i nieśmiertelnie zdradliwa, wabi w swoje objęcia tłumy kochanków, sprzeniewierza się im, spycha w przepaść i po ich trupach sięga papierowemi ramionami po nowe ofiary. Zazdrość nie towarzyszy nigdy uwielbieniu, jakiem płoną zastępy czcicieli dla jej nieruchomych rysów: w bezprzykładnej zgodzie, w anielskiej harmonji jednoczą się w wielki hymn zachwytu, który śpiewa szelestem rzucanych kart i dźwiękiem rozsypywanego złota. Jej kult odbywa się w nocy. W kawiarniach i klubach, w obłokach dymu, nasyconego żółtem światłem lampy naftowej albo promieniami elektryczności, składają wierni wielbiciele na jej ołtarzu czas, zdrowie, majątek i honor. A ona wypala im na policzkach chorobliwe rumieńce, wysysa z nich spokój, odbiera sumienie i zbrukanych bez skrupułu rzuca w męty uliczne lub — przed kratki sądowe...

Oto urzędowe dokumenty.

Przed lwowskim sądem przysięgłych rozpoczęła się wczoraj rozprawa przeciwko Karolowi Gumowskiemu lat 38, rewidentowi rachunkowemu banku zaliczkowego, Henrykowi Wójcikiewiczowi, lat 25, słuchaczowi weterynarji, Piotrowi Zygmuntowi, lat 27, ślusarzowi z zakładu gazowago i Tadeuszowi Wójcikiewiczowi, lat 21, czeladnikowi ślusarskiemu. Wszyscy czterej stają pod zarzutem rozmaitych zbrodni, jak oszustwa, usiłowanej kradzieży z włamaniem, ciężkiego uszkodzenia ciała, nie wliczając nieobjętych aktem oskarżenia planów, których oskarżeni nie mieli czasu lub sposobności wykonać. Rozprawę prowadzi radzca Tustanowski, bronią oskarżonych adwokaci dr. Sumper, dr. Klein i dr. Bund. Do rozprawy powołano 38 świadków.

Gumowski był oficerem 102 p. piechoty, stacjonowanego w Bruku nad Litawą. Hulaszcze życie i karty wprowadziły go w takie kłopoty finansowe, że został za lekkomyślne zaciąganie długów i gry hazardowe skazany na półtrzecia roku więzienia i utratę stopnia oficerskiego. Przytem padło nań podejrzenie, że ukradł kasetkę z 7000 zł., ale mu tego udowodnić nie zdołano. Pozbawiony chleba zjawił się w roku 1893 na bruku lwowskim. Tu dostał najpierw posadę djurnisty w ajencji krak. tow. ubezpieczeń, a następnie przeniosł się do banku zaliczkowego, gdzie został rewidentem z płacą 1200 zł. Pensja ta w połączeniu z dochodami z akwizytury krakowskiego tow. wynoszącymi około 1000 zł. i sprzedaży losów i maszyn do pisania, wynosiła razem około 2000 zł. rocznie.

Ale dochody te stosunkowo znaczne nie mogły wystarczyć na pokrycie wydatków Gumowskiego, który dorwawszy się pieniędzy, znów począł grać namiętnie. Z początku robił długi, potem kiedy kredytu nie stało, począł fałszować weksle z cudzymi podpisami i eskontował je w banku zaliczkowym, a zapadłe pokrywał nowymi wekslami. Pomimo zręczności przyłapano go trzy razy na fałszerstwie. Ale każdym razem udało się Gumowskiemu wywinąć z opresji w ten sposób, że apelował do litości poszkodowanych, obiecywał pokrycie i rozmaitymi zaklęciami wyłudzał od nich milczenie. Mimo to nie zaprzestał swych manipulacyj i później już nafałszował weksli z podpisami najrozmaitszych osób na łączną kwotę 880 zł.

Wreszcie dochody z tych źródeł poczęły nie wystarczać, płacenie sfałszowanych weksli przychodziło z ogromną trudnością, a w końcu, gdy fałszowanie podpisów było bliskiem wykrycia, musiała manipulacja ustać. Pozostało jeszcze pięć weksli do wykupna, a na to, jak i na dalszą grę, potrzeba było pieniędzy. Gumowski oglądnął się za nowemi źródłami dochodów i w tem przyszedł mu z pomocą słuchacz weterynarji, Henryk Wójcikiewicz. Znali się obydwaj z kawiarnianych zabaw i gry, bo Wójcikiewicz był również nałogowym graczem i przegrywał razem z Gumowskim pieniądze, przesyłane mu przez rodziców na taksy egzaminacyjne. Z nim postanowił Gumowski obrabować kasę jakiejś instytucji publicznej.

W pierwszej chwili los padł na bank zaliczkowy, ale zamiaru tego zaniechano i postanowiono obrabować agencję krak. tow. ubezpieczeń. Potrzeba było dorobionych kluczy. Wójcikiewicz miał brata czeladnikiem ślusarskim. Rozmówiono się z nim, ale okazało się, że ten nie ma dość zdolności fachowych. Obejrzano się za kimś zdolniejszym i znaleziono go w osobie Piotra Zygmunta, ślusarza z gazowni, który oprócz zdolności fachowych, okazał i zmysł złodziejski, za który poprzednio był już kilkakrotnie karany. Około Bożego Narodzenia roku zeszłego nastąpiło ogólne poznanie się, poczem czwórka schodziła się często na narady w szynku „pod lustrem", gdzie debatowano nad urzeczywistnieniem planów złodziejskich.

Zanim jednak doszły do końca przygotowania do okradzenia kasy agencji krak. tow. ubezpieczeń, postanowiła czwórka wykonać napad rozbójniczy na Emila Pawliszkiewicza, likwidatora tow. wzaj. kredytu, którego Gumowski i Wojcikiewicz *senior* znali z kart. Widzieli oni u niego często większe sumy gotówki i podpatrzyli, że późną nocą powracał sam do domu na ulicę Ochronek. Ułożono, że napad ma się odbyć przed kamienicą, w której mieszkał Pawliszkiewicz. W tym celu miano poprzecinać druty dzwonka elektrycznego u bramy, a Wójcikiewicz wypożyczył nawet u Zygmuntowej worek, który miano zarzucić na głowę Pawliszkiewiczowi. Lecz jakoś sposobna chwila się nie nadarzyła i zamiar spełzł na niczem.

Tymczasem przygotowania dla obrabowania ajencji krak. tow. ubezpieczeń doszły do końca. Przygotowano witrychy, pilniki i inne narzędzia złodziejskie. Dnia 5. stycznia r. b. służący asekuracyjny Onufry Kozak, sprzątając około godziny 10. wieczorem w biurach, spostrzegł w framudze drzwi ajencji p. Arciszewskiego po ciemku jakiegoś pana. Przeraził się tem, a pan ów wyszedł tymczasem z biura i poszedł schodami na drugie piętro, gdzie się znajduje lokal kasyna narodowego. Kozak wezwawszy sobie do pomocy innego woźnego, wyszedł na drugie piętro i tam zastali obydwaj Gumowskiego, rozmawiającego ze służącym kasyna. Poznawszy w nim urzędnika ajencji, zszedł Kozak uspokojony napowrót do biura.

Niedługo potem 25. stycznia popołudniu spostrzeżono Gumowskiego i Henryka Wójcikiewicza, plączących się koło biura p. Arciszewskiego. Kiedy zaś we dwie godziny później p. Arciszewski chciał wejść do biura, spostrzegł we drzwiach tkwiący klucz, przekręcony, tak, że go z zamku wyjąć nie było podobna. Widocznie więc ktoś dobierał się do biura w czasie niebytności p. Arciszewskiego, a właśnie w tym czasie widziano tam Gumowskiego i Wójcikiewicza.

Na podstawie tych poszlak policja wezwała obu do przesłuchania, ale obaj usprawiedliwiali się tak gładko, że ich wypuszczono na wolności. Dopiero na tępne poszukiwania i list anonimowy pisany przez Zygmuntową do policji, a donoszący o tem, że mąż jej wraz Gumowskim i kilku towarzyszami zamierzają obrabować jakąś kasę, sprowadził aresztowanie Gumowskiego i Wójcikiewiczów. Zygmunt uciekł ze Lwowa i złapano go aż w Miskolczu na Węgrzech. W śledztwie Gumowski wypierał się wszystkiego i obecność swoją w gmachu tow. ubezp. tłómaczył interesami osób trzecich, mianowicie wekslami. Winę fałszerstw zwalił na jakąś „wysoko położoną osobę!" której nazwiska nie chce kompromitować. Zygmunt i Wójcikiewicze przyznali się z początku częściowo do winy, kolejno jednak poodwoływali ze nania.

Wczoraj przesłuchiwano herszta oskarżonych Gumowskiego. Jestto mężczyzna wysokiego wzrostu, elegancki, z krótko ostrzyżonymi włosami, prawie siwymi już (pomimo, że Gumowski jest dopiero w sile wieku), mówi z rękami splecionemi z tyłu, przyczem prawą dłonią robi ustawicznie nerwowe ruchy, jak by odpędzał kogoś od siebie, a palce drgają mu w dziwny sposób. Po tych ruchach mógłby zapewne wprawny psychiatra poznać na pierwszy rzut oka, że to typ szulera, mającego ciągle do czynienia z kartami. Na wezwanie przewodniczącego opowiada Gumowski swoją przeszłość, dość burzliwą, bo pełną awantur, z długami karcianymi, karani za gry hazardowe itp.

Do winy się nie poczuwa, jest człowiewiekiem „przyzwoitym" i przestawał tylko z ludźmi „przyzwoitymi", na bilardzie nigdy nie spał, jak mu to zarzuca akt oskarżenia. Opowiada o stosunku swoim do pani Zygmuntowej, żony montera, przyczem stara się ten stosunek przedstawić jako romans i wyraża się górnolotnie o zaletach tej pani. Poznał się z nią w restauracji „pod lustrem", gdzie zaprosiła go na gęś i od tego czasu rozpoczął się między nimi „serdeczniejszy" stosunek". Dość jasnem jest jednak że tym romansem chce Gumowski zamaskować swoje konszachty z Zygmuntami.

Rozprawa, obliczona na sześć dni, przyniesie zapewne interesujące szczegóły.

Rada państwa.

(Telegramy „Dziennika Polskiego").

Wiedeń 7. listopada. *(Z komisji budżetowej).* Obstrukcyjna dyskusja trwała wczoraj bardzo długo, a członkowie obstrukcji zgłosili protest przeciwko przydzieleniu komisji prowizorjum ugodowego przy pomocy pogwalcenia regulaminu izby i oświadczyli, że tylko pod tem zastrzeżeniem biorą udział w obradach komisji.

TELEGRAMY „Dziennika Polskiego."

Budapeszt 7. listopada. *Pester Lloyd* ostrzega posłów austrjackich, aby na serjo nie brali udziału w „ogólno-niemieckim wiecu" w Berlinie, gdyż ci Austrjacy, którzy oczkują z Niemcami i Niemcy, którzy oczkują z Austrją, mogą naprawdę wstrząsnąć sojuszem.

Nadesłane.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni K. Budweisera pod zarządem Ludwika Ringla.